

Napisał: Tadeusz Kozłowski

Ilustrował: Marian Stachurski



Martlin odłożył karty na sukno stolika, przeciągnął się lekko i odetchnął głęboko.

– Chyba nie zaczniemy nowej gry – rzekł do partnerów. – Pani Elżbieta poda zaraz kawę.

– Ale też karta szła panu niesamowicie – rzucił sąsiad z lewej strony. – Grał pan, jakby ktoś panu podpowiadał. Wyglądało na to, że ma pan niewidzialnego suflera, który zagląda nam w karty i sekretnie informuje pana o tym, co zobaczył.

– A może pan podpisał cyrograf z księciem ciemności? – zaśmiała się partnerka Martlina, piękna, choć trochę już w latach, brunetka. – Dlaczego pan na nas tak dziwnie patrzy? – dodała napotkawszy jego spojrzenie.

– Bo mi się przypomniała pewna przygoda sprzed pięciu lat – odrzekł.

– Niesamowita, jak to dzisiejsze pańskie powodzenie? – zapytał czwarty z graczy.

– Tak, raczej niesamowita – odpowiedział Martlin w zamyśleniu.

– To niech nam pan ją opowie; bardzo lubię opowiadania z dreszczykiem – rzekła brunetka. – Pani Elżbieto! – ciągnęła dalej, widząc zbliżającą się gospodynię – pan Tobiasz opowie nam swą nadzwyczajną przygodę.

– Doskonale. Opowie ją nam pan przy kawie. Proszę państwa – zwróciła się do gości przy dwóch pozostałych stolikach – proszę przerwać grę i przejść na kawę.

Po chwili, gdy zamieszanie towarzyskie ustało i wszyscy usiedli wygodnie, gospodyni zwróciła się z zachęcającym uśmiechem do Martlina:

– Proszę bardzo, niech pan nam teraz opowie swoją przygodę.

– Jaką przygodę? O co idzie? – zaczęły padać pytania. Rwetes, jaki powstał, przetrwała gospodyni.

– Proszę o spokój – rzekła – pan inżynier Martlin przeżył jakąś nadzwyczajną przygodę. Jestem bardzo ciekawa, co to było, a sądzę, że i wszyscy państwo są na równi ze mną zaciekawieni. No, niech się pan nie da prosić.

Martlin powiódł spojrzeniem po zgromadzonych i rzekł, cedząc słowa:

– Właściwie, to nie wiem, czy powinienem ją opowiadać, ale jeżeli państwo chcą koniecznie...

– Oczywiście, że chcemy – powiedział ktoś. – Nie wypada panu odmawiać gospodyni i nam.

– Dobrze, opowiem. Pięć lat temu, pod koniec października, jechałem popołudniowym ekspresem do stolicy. Siedziałem sam w przedziale pierwszej klasy. Noc już zapadła, zasłony na ścianie korytarzowej były zaciągnięte, za oknami panowała ciemność, na której tle przesuwiał się pas odbłasku padającego z okien pociągu. Siedziałem przy oknie, wciśnięty w narożnik oparcia. Było mi dobrze, miałem poczucie zupełnego odcięcia się od ludzi i całego otoczenia. Lubię ten rodzaj samotności.

Książkę odłożyłem na stoliczek i siedziałem rozmarzony, patrząc na drzwi. W pewnej chwili zwróciłem twarz ku oknu i z najwyższym zdumieniem stwierdziłem, że naprzeciw mnie siedzi jakiś mężczyzna.

– Kiedy wszedł i którędy? – zapytałem się w myśli. – Przecież przed chwilą nie było tam nikogo, okno zamknięte, na drzwi patrzyłem cały czas, nie były otwierane.

Zaniepokoiło mnie to, przynajmniej, ale nie odezwałem się do przybysza. Wziąłem do ręki książkę i otworzyłem ją w założonym miejscu. Ale jakoś nie mogłem czytać. Byłem ciekawy, kto to jest i jak tu wszedł. Chcąc mu się lepiej przyjrzeć, odłożyłem książkę, wstałem i z torby leżącej na siatce wydobyłem tabliczkę czekolady. W czasie tych manipulacji przyjrzałem się przybyszowi. Miał około czterdziestki, ubrany skromnie, ale bardzo starannie, był wybitnie przystojny i tak pociągający, iż ucieszyłem się, że nie jestem kobietą. Gdybym nią był, zakochałbym się w nim chyba w ciągu pięciu minut. Rysy twarzy miał idealnie regularne, przy tym nadzwyczaj wyraziste. Ciemna, lekko szpakowata, artystycznie ułożona czupryna koronowała głowę. Najwspanialsze były jednak jego oczy, tliło się w nich jakieś dziwne ciepło. Był chyba wysoki.

Przyznaję, że jego widok speszył mnie, toteż nie wiem, dlaczego wyciągnąłem ku niemu rękę z czekoladą i spytałem:

– Czy mogę panu zaproponować kawałek?

Ku mojemu zdziwieniu nie certował się ani chwili. Z prostotą rzekł:

– Bardzo chętnie – i odłamał kęs z tabliczki. Uczyniłem to samo i przez chwilę jedliśmy obaj.

– Bardzo pana przepraszam – rzekłem po krótkiej walce z sobą – kiedy pan tu wszedł i którądy?

Uśmiechnął się ujmująco i spojrzał na mnie z przyjaznym wyrozumieniem.

– Przecież ja jestem tu z panem od początku podróży – rzekł. Głos miał niski o bardzo miłym, miękkim brzmieniu, ale czuło się w nim siłę i stanowczość.

Z kolei ja się uśmiechnąłem, lecz z zakłopotaniem.

– Niech się pan nie gniewa – rzekłem – ale pana tu nie było przed chwilą. Przecież nie jest pan chyba zjawą?

– Na pewno nie jestem, widzi pan, że jem czekoladę. Jest bardzo smaczna, dziękuję za poczęstunek.

– Proszę pana – upierałem się – przecież wiem, że pana tu nie było przed chwilą. Chyba że pan siedział uprzednio w czapce niewidce?

– Niech pan odłoży do lamusa bajek czapki niewidki – usłyszałem odpowiedź. – Ale istotnie, mógł mię pan nie widzieć przedtem.

– Więc jak pan tu się znalazł? – spytałem ponownie.

– To nie jest takie proste zagadnienie – odparł spokojnie.

– Ale jeżeli zależy panu na wyjaśnieniu, mogę to uczynić. Sądzę, że pan jako konstruktor statków międzygwiazdnych, potrafi to zrozumieć. Przecież pan jest wychowany na mechanice relatywistycznej.

– A skąd pan wie, że ja jestem specjalistą od astronautyki?

Ogarnęło mnie nagle podejrzenie, więc pół żartem, pół serio spytałem:

– Nie jest pan przypadkiem agentem obcego wywiadu?

Skwitował oba pytania czarującym uśmiechem.

– Nie, nie pracuję w obcym wywiadzie. A czy książka, którą pan trzyma w ręce, nie ma przypadkiem tytułu: „Budowa statków międzygwiazdnych o napędzie fotonowym”?

Istotnie, taki jest jej tytuł – odrzekłem zdumiony, bo książka miała ciemną, plastikową obwolotę. Ani na chwilę nie odsłoniłem karty tytułowej, a otworzyłem ją na stronach, na których nie było ani jednego wzoru, ani jednego rysunku. Nieco zmieszany więc rzekłem:

– Niech pan wyjaśni mi zagadkę pańskiej obecności tutaj.

– Dobrze. Zacznę od pytania. Ile wymiarów ma według pana wszechświat?

– Cztery – odrzekłem bez namysłu. – Czterowektor wyraża matematycznie nasz Wszechświat. Ale co z tego?

– Zaraz, proszę o cierpliwość – odpowiedział. – A czy mógłby pan wyrazić matematycznie wszechświat pięcio-, sześcio- lub więcejwymiarowy?

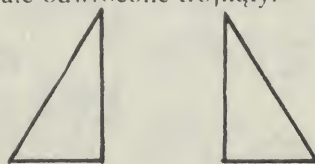
– Oczywiście, że mógłbym. Musiałbym tylko wiedzieć, jaki jest sens fizyczny piątego, szóstego i każdego ewentualnego następnego wyrazu, tak jak znam sens ostatniego wyrazu czterowektora.

– Przejdźmy teraz do świata dwuwymiarowego, na idealnej płaszczyźnie. Godzi się pan na możliwość takiego wszechświata?

– Teoretycznie, tak – odrzekłem. – Jest to model przytaczany jeszcze w zaraniu mechaniki relatywistycznej.

– Widzi pan. Zatem doskonale się pan orientuje, że płaszczyzna, tj. inteligentne istoty zamieszkujące taki wszechświat potrafią, na drodze pomiaru boków i kątów dwóch takich trójkątów, stwierdzić ich przystawanie.

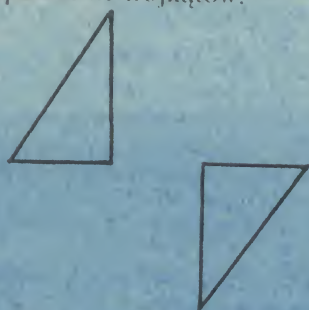
Wydobył mały notatnik i narysował przystające, ale odwrócone trójkąty.



– Doskonale się pan orientuje – ciągnął dalej – że bezpośredniego sprawdzenia ich przystawania nie będą one mogły dokonać.

– Oczywiście – wtrąciłem – musiałyby przejść przez trzeci wymiar, a to nie jest dla nich możliwe. Natomiast doskonale przeprowadzą dowód bezpośredni w takim przypadku.

Na zakładce książki narysowałem następujące położenie trójkątów:



Martlin pokazał obecnym oba rysunki. Wykonał je na serwetce bibulkowej. Potem ciągnął dalej:

– Nieznajomy spojrział na mój rysunek i rzekł:

– Zatem płaszczyki orzekną, że pański przypadek podpada pod geometrię zwykłą, nazwijmy ją euklidesowską, a mój pod geometrię relatywistyczną. Czy tak?

– Oczywiście. Ale to, co omawialiśmy, jest mi doskonale znane ze szkoły średniej. Niechże pan przystąpi wreszcie do wyjaśnienia mi swej obecności tutaj.

– Zaraz. Proszę mi powiedzieć, czy płaszczyki mogą nas dostrzec?

– Na pewno nie. Przecież nie dostrzegają niczego, co leży poza płaszczyzną ich świata. My natomiast możemy ich obserwować doskonale.

– Widzi pan. A proszę teraz zastosować w rozumowaniu metodę analogii. To też naukowa metoda. Proszę mi teraz odpowiedzieć, czy może pan sprawdzić w sposób bezpośredni przystawanie dwóch brył?

– Nie. Mogę tylko albo pomierzyć ich krawędzie i kąty, bądź też zbudować jakiś przestrzenny sprawdzian i kolejno sprawdzić za pomocą niego obie bryły.

– A zatem – rzekł nieznajomy – może pan rozwiązać to zadanie albo w sposób pośredni, albo też w czasie. – Czy nie wydaje się panu – ciągnął dalej – że istota z pięciowymiarowego wszechświata mogłaby sprawdzić to zadanie w sposób bezpośredni przez załamanie czterowymiarowego wszechświata wzdłuż jakiejś osi symetrii, tak jak pan to uczynił ze światem płaszczyk przy pokazanym przeze mnie przypadku przystawania trójkątów? Widzę, że zgadza się pan. Stawiam zatem następne pytanie, a mianowicie: Czy pan, jako istota ze świata czterowymiarowego, mógłby dostrzec kogoś ze świata pięciowymiarowego? Prawda, że nie? I wreszcie przechodzę do odpowiedzi na właściwe pytanie pana. Pan może się pokazać płaszczykom. Wystarczy, jeżeli pan ucharakteryzuje się i ubierze na ich wygląd, nagra swój film i projekтором rzuci swój obraz na ekran, jakim jest ich wszechświat. Gdy pan włączy projektor, zjawia się pan; gdy wyłączy – znika. A przecież to samo może zrobić za pomocą swego projektora istota z pięciowymiarowego wszechświata.

– Rzeczywiście – rzekłem zdumiony. – Opowiedział mi pan zadziwiające rzeczy. Ale czy pan chce sugerować, że jest przybyszem z jakiegoś innego wszechświata? Kim pan jest właściwie? Proszę mi podać swoją nazwę.

– Proszę pana – odrzekł – niekoniecznie musi istnieć wiele wszechświatów o różnej liczbie wymiarów. Może być tylko jeden wszechświat mający  $n$  wymiarów. Pan porusza się swobodnie w trzech z nich, a umie wyliczyć i wyczuć czterowymiarowy jego model. I to już wszystko. Moje imię ma starożytne brzmienie. Pan zna przecież grekę. Po grecku brzmi ono następująco; proszę niech pan odczyta.

Pokazał mi pierwszą stronę swego notatnika. Było na niej napisane greckim alfabetem:

„Rafaelos Angelos

Stróż Sprawiedliwości”

– W Grecji też spotyka się to nazwisko? – spytałem. – W Niemczech jest ono popularne; sam znałem kilku Engłów. We Francji jest używane raczej jako imię; Ange, natomiast w Polsce spotyka się częściej formę Anioła niż Anioł. A co znaczy ten dodatek

„Stróż Sprawiedliwości”? Czy jest pan prawnikiem policji?

– Nie – odrzekł. – To jest nazwa funkcji, jaką sprawuję, coś w rodzaju doradcy prawnego.

– Czy to jest stanowisko państwowe, czy też społeczne? – spytałem.

– Dlaczego pan wczoraj nie napisał i nie wysłał tego pilnego listu? – odpowiedział wymijająco pytaniem na pytanie.

– Proszę to zrobić zaraz po powrocie do domu.

Zaniemówiłem i patrzyłem na niego z osłupieniem. Istotnie, trzy razy zabierałem się wczoraj do napisania pewnego listu i za każdym razem rezygnowałem.

– Proszę pana – podjął on znowu – za cztery minuty pociąg ten zostanie zatrzymany w polu na czternaście sekund przez sygnał.

– Skąd pan to wie? – zapytałem.

– Proszę pana, ja to widzę – odrzekł. – Panie Tobiaszu, błagam pana, niech się pan nie ociąga. Niech pan zabiera swoje rzeczy i prędko idzie za mną do wyjścia. Wsiadamy.

– I co, posłuchał go pan? – spytała w podnieceniu pani Elżbieta.

– Posłuchałem. Schwyciłem płaszcz i torbę, wyszedłem za nim na korytarz i szybkim krokiem poszliśmy na koniec wagonu. Na korytarzu nie było nikogo. Gdy szliśmy, pociąg zaczął zwalniać i w chwilę potem, gdy dotarliśmy do wyjścia, zatrzymał się. Wówczas nieznajomy prędko otworzył drzwi, pchnął mnie ku schodkom, a gdy zeskokczyłem na torowisko, zszedł za mną. W tej chwili lokomotywa dała sygnał i pociąg powoli ruszył. Coś się we mnie zakotłowało, jakiś bunt przeciw naciskowi. Odruchowo chciałem wskoczyć z powrotem, ale nieznajomy chwycił mnie za ramię z siłą, jakiej się nie spodziewałem, i trzymał mocno, dopóki ostatni wagon nas nie minął. Wówczas zwolnił swój uchwyt. Obejrzałem się w jego stronę, ale nikogo przy mnie nie było; stałem sam na torowisku, a pociąg oddalał się, nabierając coraz większej prędkości.

– Ale pana nabrał, panie Tobiaszu – zaśmiał się sędzia Baltrach. – Wysadził pana z pociągu, a sam wskoczył w ostatniej chwili, i

to tak, że pan tego nie zauważył. A najlepsze, że podał panu imię anioła Rafała z Księgi Tobiasza ze Starego Testamentu. Cha, cha, cha!

Śmiech udzielił się innym. Martlin przeczekał ten wybuch i spokojnie podjął swoje opowiadanie.

– Proszę państwa, dotarłem do przystanku autobusowego i po uciążliwej podróży autobusem i koleją późną nocą dostałem się do domu. Niech się państwo nie śmieją, bo nie czas na to. Gdy rano przy śniadaniu żona podała mi gazetę, z przerażeniem wyczytałem, że ekspres, którym jechałem, w piętnaście minut po tym niespodziewanym zatrzymaniu, zderzył się na stacji węzłowej z pociągiem towarowym. Pamiętacie tę katastrofę; sto czterdzieści dwie osoby zabite, sześćdziesiąt osiem odwiezionych w stanie beznadziejnym lub ciężkim do szpitala. Tu nie miejsce na żarty.

To był koniec opowiadania. Przez chwilę cicho było w pokoju jak makiem sią; wszyscy trwali w napięciu, jakie wywołały ostatnie słowa Martlina. Pierwszy odezwał się Rotricht.

– Istotnie, dziwna historia – rzekł – jeżeli jej pan nie wymyślił dla naszej rozrywki. Czy pan ma może ten notes, który wręczył panu nieznajomy?

– Nie. On mi go nie wręczył, pokazał mi tylko jego pierwszą stronę. Ale mam lepszy dowód, bilet kolejowy, i to skontrolowany w pociągu. Oto on – rzekł, podając Rotrichtowi kartonik wydobyty z portfelu. – Proszę sprawdzić datę i numer pociągu. Wszystko się zgadza, co wskazuje, że jechałem tym pociągiem, który uległ katastrofie.

– To nie jest dowód wystarczający – rzekł Baltrach. – Mógł pan z jakichś panu tylko znanych powodów wysiąść na poprzedniej stacji.

– Panie sędzio, mam jeszcze jako dowód, bilet autobusowy określający przystanek, na którym wsiadłem. Oczywiście, nie mogę przedłożyć państwu wszystkich dowodów w sposób całkowicie wyczerpujący. Ale gdyby przeprowadzić śledztwo sądowe, to po dokonaniu szeregu wywiadów i stwierdzeń, oka-

załoby się jednoznacznie, o której godzinie mogłem wysiąść z pociągu i o której wszedłem do autobusu. Przecież o zatrzymaniu pociągu pod sygnałem w polu nie było wzmianki w sprawozdaniach gazet, a miało ono miejsce i dałoby się je stwierdzić. Można też...

– Mniejsza z tym – przerwał Martlinowi Hovart, naczelny lekarz sanatorium dla cierpiących na niedomagania psychiczne.

– Niech nam pan powie, kto to był według pana.

– Niestety, nic o nim nie umiem powiedzieć ponad to, co opowiedziałem. Z początku złościło mnie to, że on tak dużo o mnie wiedział. Skąd na przykład znał moje imię, jak się dowiedział o nie napisanym liście?

– Ten pana nieznajomy to zbrodniarz – zawałowała w tym momencie Barbara Press.

– Dlaczego, panno Basiu? – zapytał Martlin ze zdziwieniem.

– Jak to dlaczego? Przecież, jeżeli wiedział o mającej nastąpić katastrofie ekspresu, a tak należy sądzić, to był obowiązany zawiadomić o tym służbę ruchu, nie zaś

dyskutować z panem na temat wymiarów we wszechświatach.

– To był na pewno jasnowidz, panno Basiu – wtrącił się Rotricht – a jaki dowód może przedstawić jasnowidz na swoją wizję?

– Mógł w każdym razie skorzystać z hamulca bezpieczeństwa – orzekł prawniczym tonem Baltrach – zatrzymać pociąg i spróbować przekonać służbę ruchu. To minimum obowiązywało go, moim zdaniem, jako człowieka.

– A jeżeli on nie był człowiekiem? – wtrąciła gospodyni. – Z każdej nieomal katastrofy jedna lub też kilka osób wychodzi obronną ręką. Może to się dzieje na skutek podobnej interwencji jak ta z opowiadania pana Tobiasza? Przecież kilkanaście lat temu stewardesa spadła z samolotem z dziesięciu tysięcy metrów i odratowano ją.

– Daj spokój, Elu – włączył się do dyskusji jej mąż. – Pan Martlin opowiedział nam swoją przygodę. Bez względu na to, czy była ona prawdziwa, czy nie, opowiadanie uznajemy za ciekawe. A teraz, proszę państwa, chodźmy kończyć grę.

